



KNIAZA



CZASOPISMO MIESZKANCÓW WSI KOSZOŁY

Wspomnień czar

Bardzo cieszę się, że pierwszy numer Czasopisma „Kniaza” spotkał się z tak dobrym przyjęciem i uznaniem. Napawa optymizmem fakt, że zainteresowanie lokalną historią i sprawami swojej „Małej Ojczyzny” nie jest mieszkańcom Koszół obojętne. Świadczy to także o potrzebie wydawania takiego periodyku. Krótko po publikacji gazetki, z Redakcją skontaktowało się kilku byłych mieszkańców wsi Koszóły. Wyrazili oni chęć współpracy z czasopismem. Otrzymaliśmy pierwsze materiały wspomnieniowe. Niestety objętość gazetki nie pozwala na zamieszczenie ich wszystkich w bieżącym numerze. Ponadto, udało nam się skontaktować z prof. Wacławem Nazarewiczem, mieszkającym w Warszawie. Pan Profesor rodem pochodzi z Koszół i jest obecnie emerytowanym fizykiem Uniwersytetu Warszawskiego. W czasie jednego z moich wyjazdów do Warszawy, udało mi się namówić Profesora na wywiad. Posiada on doskonałą pamięć i opowiada wydarzenia z historii Koszół z XIX w. Nawiązaliśmy także kontakt z Kazimierzem Bandarzewskim, doktorem prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. On również zainteresowany jest współpracą z Redakcją. Udało się też dotrzeć do p. Marii Tokarskiej (z d. Mikicińska), jednej z pierwszych powojennych nauczycielek w Koszółach. W tym roku skończyła 82 lata i obecnie mieszka w Janowie Podlaskim. W następnym numerze opublikujemy jej wspomnienia m.in. z okresu pracy w Koszółach. Poza tym skontaktowaliśmy się także z dr. Markiem Makowskim, którego

rodzice wywodzą się z Koszół. Przez wiele lat pracował jako kustosz na Zamku Królewskim w Warszawie. Zajmuje się genealogią i heraldyką. W związku z tym, że od niedawna jest na emeryturze, obiecał do kolejnego numeru przesłać artykuł o herbach rodowych z okolic Koszół.

W bieżącym numerze prezentujemy m.in. relacje z gminnych dożynek w Łomazach oraz wrześniowego pikniku. pierwszą część wspomnień Czesława Najdychora, pochodzącego z Koszół. Poza tym, przedstawiamy również biografię i wywiad z prof. Nazarewiczem, który obchodzi w tym roku jubileusz 80-lecia urodzin. Ponadto, w numerze przeczytać mogą Państwo o dawnych zwyczajach wigilijnych. Jednym słowem, „dla każdego coś miłego”.

Po raz kolejny gorąco zachęcamy wszystkich, którym leży na sercu kontynuowanie wydawania gazetki, do nadsyłania na adres redakcyjny wspomnień, dokumentów lub fotografii. Każdy taki materiał jest dla Redakcji bardzo cenny. Nie tylko ze względu na to, że ocala fragment dziejów miejscowości, ale stanowi pewien emocjonalny z nią związek.

Wszystkim naszym Czytelnikom i Mieszkańcom wsi Koszóły Redakcja życzy zdrowych, spokojnych Świąt Bożego Narodzenia, pełnych miłości i radości, spędzonych w gronie najbliższych, a w Nowym Roku 2011 wszelkiej pomyślności, aby ten rok, był rokiem sukcesów nie tylko w pracy, ale także w życiu prywatnym.

Sławomir Hordejuk



Zima w Koszółach...

fot. Ela Wołosowicz

Zachowane w nazwach

Na obszarze sołectwa Koszóły po dziś dzień funkcjonuje bardzo wiele miejscowych nazw. Odnoszą się one do konkretnych części wsi. Świadczą też o znaczeniu i pochodzeniu różnych obiektów topograficznych na terenie miejscowości. Czasami z danym miejscem wiąże się jakaś historia lub legenda. Nazwy miejscowe (tzw. toponimia) stanowią również kapitalne źródło do przeszłości tych ziem. Bardzo często zdarza się, że tylko nazwa miejscowa świadczy o tym, że w danym miejscu znajdowało się bagno, uroczysko, las, świątynia, czy folwark. Nie bez wpływu na brzmienie części tych nazw, miało osadnictwo zarówno wschodniosłowiańskie, jak i zachodniosłowiańskie. Stąd część nazw miejscowych (własnych) posiada brzmienie rusińskie lub tzw. chachłackie. Nazewnictwo to w ciągu pięciu wieków istnienia wsi Koszóły ewoluowało. Niestety nieubłagany upływ czasu i tzw. „wymiana pokoleń”, sprawiają, że coraz mniej tych nazw pozostaje w świadomości mieszkańców. Niektóre nazwy zanikły zupełnie lub nie są już stosowane. Najczęściej odnoszą się one do części wsi, łąk, pól, lasów i dróg. Poniższy wykaz nazewnictwa miejsc oraz obiektów jest niepełny i wymaga w przyszłości uzupełnienia:

- Bagny, Białe Błota, Budziska, Czeremszczyzna (Czeremszyna), Droworuby, Gaj, Glinki (Glinnik), Gościńiec, Grabowszczyzna, Hrud, Kalinnik, Kapica, Koniec, Końce (Kunciele), Koszeliki, Kryszone (Kryszoła), Kulikowszczyzna, Kupina, Las Choiny (Pod Choinami), Lasek (Lisek), Lisikowe Bagno, Lutnia, Łojowe Bagno, Moszczone (Moszczona), Nadatki (Naddatki), Oborowiec, Oborówczyk Mały, Ochoża (Ochłozka), Ortelszczyzna, Ośniak, Peredsiele (Pereciele), Porośle, Pożary, Puchaczówka, Rozkopy, Rzeczka, Seredina, Serwituty, Stroniec, Wiszki, Zacerkwiane (Zacerkiewne), Zaglinnicze, Zagumienie, Zakuczenie, Zalutnia (Zalutenie), Zamoszczone (Zamoszczonie), Zaroskopie, Zarówka, Zarzeczce (Zarzeka), Zaścianek (Zaścianeczki), Zawiszki, Żurawik*.

Sławomir Hordejuk

*Opracowano na podstawie wywiadów z mieszkańcami wsi Koszóły.





Sukces na dożynkach

Dożynki – czyli Święto Plonów, urządzone jest z myślą o zniwiarzach w nagrodę za wykonaną przez nich pracę i za zebrane plony. 29 sierpnia 2010 roku na stadionie sportowym w Łomazach już po raz trzeci odbyły się Dożynki Gminy Łomazy. Po raz pierwszy Koszoły zajęły w nich pierwsze miejsce.

Choć pogoda nie rozpieszczała, prace na stadionie ruszyły pełną parą. Od samego rana mieszkańcy poszczególnych wsi z terenu gminy przygotowywali stoiska promujące swoje miejscowości, odświętnie je przystrajając. Uroczystości gminnego święta plonów rozpoczęto dziękczynną Mszą Św. o godzinie 12.00 w kościele pod wezwaniem Św. Apostołów Piotra i Pawła w Łomazach. Przybyły tam delegacje z 11 miejscowości naszej gminy wraz z wieńcami żniwnymi, które na zakończenie Mszy zostały uroczystie poświęcone.

Następnie w uroczystej asyście orkiestry OSP Łomazy przedstawiciele sołectw z wieńcami dożynkowymi, sołtysi, władze samorządowe gminy i powiatu oraz zaproszeni goście w barwnym korowodzie dożynkowym udali się na stadion. Zebranych powitał Wójt Gminy Waldemar Drożdżuk, który otrzymał z rąk starostów dożynkowych tradycyjny chleb upieczony z tegorocznej mąki dokonując tym samym oficjalnego otwarcia imprezy. Tegorocznymi Starostami byli Państwo Urszula i Tadeusz Tulwinowie, którzy prowadzą jedno z najprężniej rozwijających się gospodarstw w gminie Łomazy.

Po przywitaniu licznie przybyłych mieszkańców gminy i okolic nadeszła pora na prezentację wszystkich przybyłych miejscowości, ich dorobku



Śpiewa, tańczy... Zespół „Talizman”

w dziedzinie rolniczej, społecznej i kulturalnej. Następnie delegacje zaprezentowały zgromadzonym gościom symbol dożynek - wieńce dożynkowe wykonane z kłosów, owoców i kwiatów. Pomysłowe, wykonane z ogromną starannością i artyzmem wieńce, oceniła komisja konkursowa. Pierwsze miejsce po raz kolejny przyznano Woli Dubowskiej - za wkład pracy, okazałość i piękno.

Drugie zajął wieńiec wykonany przez mieszkańców Dubowa - za walory estetyczne, zaś trzecie otrzymał wieńiec pochodzący z Łomaz - za pomysłowość i nietypowe podejście. Pozostałe wieńce również zostały nagrodzone otrzymując wyróżnienie.

Oprócz konkursu na „Najpiękniejszy wieńiec dożynkowy” przeprowadzono również konkurs pt: „Najładniejsza ekspozycja - pawilon promujący miejscowość”. W tej kategorii oceniane były stoiska wystawione przez poszczególne sołectwa. Podziw zarówno uczestników Dożynek, jak też komisji wzbudziły piękne ekspozycje z elementami sztuki ludowej, kwiatami, owocami i przepyszными potrawami. Widocznym było ogromne zaangażowanie mieszkańców, którzy prześcigali się pomysłami, by jak najlepiej wypaść i wyróżnić się spośród innych wsi. **Za najlepsze stoisko promujące miejscowość uznano Koszoły - za gazetkę, obrazy, pieczone baranki i prosiaki.** Drugie miejsce otrzymały Łomazy - za finezję, rzeźbę, śpiew i miód, a trzecie miejsce przyznano mieszkańcom Studzianki - za bogate stroje, bardzo pyszne potrawy, zwłaszcza tatarskie i ekspozycje muzealne. Pozostałe pawilony również zostały wyróżnione dyplomami oraz podziękowaniami od wójta.



Humor dopisywał wszystkim



Tyle łakoci... tylko co tu zjeść?

Kulminacyjnym momentem gminnych dożynek było zaproszenie do degustacji smakołyków przygotowanych przez mieszkańców. Tłumnie przybyli goście ruszyli ku suto zastawionym stoiskom pełnym regionalnych potraw z oryginalnych „babcinych” przepisów. Nie zabrakło przeróżnych

mięsiw pieczonych, wędzonych, chleba pieczonego w „chlebówce”, smalczyku z cebulką i skwareczkami, najróżnorodniejszych ciast i ciasteczek oraz trunków wszelkiego rodzaju. Jedną z licznych atrakcji dożynekowych stanowiła wystawa zwierząt hodowlanych, którą przygotował

Cezary Nowogrodzki. Można było tam zobaczyć m.in.: alpaki, kozy, owce wrzosówki, barany, kucyki i... osła. Wystawa budziła żywe emocje zarówno wśród najmłodszych, jak i trochę starszych. Dzieci świetnie się bawiły w parku rozrywki, gdzie mogły poskakać i pojeździć.

Jak przystało na „Święto Plonów” nie mogło zabraknąć pokazu najnowocześniejszego sprzętu rolniczego. Stoiska te cieszyły się ogromnym zainteresowaniem okolicznych mieszkańców. Można było również uzyskać porady przy stoisku ODR Końskowola.

Po części oficjalnej przyszła kolej na rozrywkę. Na scenie odbyły się koncerty kapeli ludowej PSS Społem z Białej Podlaskiej, koncert pokoleń. Wystąpił zespół TALIZMAN, który zaprezentował przeboje i pieśni cygańskie. Publiczność podziwiała występy dzieci i młodzieży z GOK-u w Łomazach oraz zespół biesiadny „Śpiewam bo lubię”. Zebranych bawił kabaret TEN. Gwiazda wieczoru zespół MAXX Dance hitami „Wszystko co w nas” i „Pragniesz mnie” wprowadził w szczególności młode pokolenie w wir tańca. Na zakończenie odbyła się zabawa z zespołem LUNA Dance.

tekst i fot. Elżbieta Wołosowicz



Zwycięskie Koszoły



Piknik w Koszołach

„Koszoły – wieś z tradycją, przyjazna ludziom i naturze”. Pod takim hasłem 12 września w Koszołach odbył się rodzinny piknik. Była to pierwsza tego typu impreza zorganizowana w tej miejscowości. Tego dnia dopisała nie tylko frekwencja, ale również pogoda.

Pomysł zrodził się spontanicznie na przełomie lipca i sierpnia. Głównym zaś bodźcem stała się inicjatywa odnowienia dawnego cmentarza unickiego zaniedbanego przez szereg lat. Inicjatorami akcji byli Cezary Nowogrodzki, Sławomir Hordejuk, Magdalena Adamska, Kamil Malewicz oraz Elżbieta i Krzysztof Wołosowicz. Propozycja szybko znalazła poparcie i w przygotowania zaangażowała się prawie cała wieś. Staraniem mieszkańców wycięto porastające cmentarz krzewy oraz oczyszczono nieliczne, ocalałe jeszcze kamienie nagrobne. W czasie prac odnaleziono kilka zachowanych kamieni z wyrytymi nazwiskami zmarłych oraz trzy żelazne krzyże. Miejsca pochówku zostały należycie uczczone. Mieszkańcy przynieśli znicze i zasadzili kwiaty. To właśnie na cmentarzu, wspólną modlitwą w intencji mieszkańców o godz. 15 rozpoczął się festyn. Bogaty program imprezy oraz piękna słoneczna pogoda przyciągnęły licznych uczestników zarówno z Koszoł, jak i z sąsiednich miejscowości. Przybyli również dumni mieszkańcy, których dzieciństwo i młodość upłynęły w naszej wsi. Jedną z atrakcji było bowiem spotkanie absolwentów w budynku dawnej szkoły podstawowej. Zwiedzając stare mury z pewnością wielu wróciło myślami do lat dzieciństwa spędzonego w szkolnych ławach.



Zespół „Na Swojską Nutę” z Zahorowa

Bogatą przeszłość Koszoł przywołały gawędy historyczne Cezarego Nowogrodzkiego z Galerii „Ulica Krzywa” oraz Sławomira Hordejuka. Był to ważny punkt programu.

Zamysłem organizatorów było bowiem podkreślenie znaczenia w regionie, niewielkich dziś Koszoł. Zebranych gości zabawiał Kabaret TEN



Dopisała zarówno pogoda, jak i publiczność

foto. Ela Wołosowicz



Ułani, ułani...

fot. Ela Wołosowicz

z Białej Podlaskiej, a wraz z zespołami „Lewkowianie” z Dokudowa oraz „Na Swojską Nutę” z Zahorowa można było pośpiewać ludowe pieśni. Następnie pan Zygmunt Mazur przygrywając na akordeonie poprowadził zabawę w dawnym stylu. Program imprezy przewidywał również przejazd grupy rekonstrukcyjnej Konnej

Straży Ochrony Przyrody i Tradycji. Pokaz zręczności jeździeckich w ich wykonaniu wzbudził duże zainteresowanie. Uwagę przykuwały szczególnie wspaniałe konie krwi arabskiej. Po przedstawieniu kawalerzysty chętnie pozowali do zdjęć. Następnie na szkolnym boisku odbył się turniej piłki nożnej rozgrywany pomiędzy

reprezentacjami Ortela Królewskiego, Studzianki i Koszoł. Najlepsza okazała się drużyna z Ortela. Drugie miejsce przypadło dla Koszoł, a trzecie dla Studzianki

Przez cały czas trwania imprezy można było zwiedzać w budynku szkolnym wystawy fotograficzne Elżbiety Wołosowicz „Koszoły jakich nie znacie” i „Koszoły w starej fotografii”. Ponadto, wystawę pt. „Tatarzy z Koszoł i okolic” przygotował Sławomir Hordejuk, regionalista i pasjonat tematyki tatarskiej. Swoje obrazy udostępnił zwiedzającym także Jerzy Bessaraba – od dawna utrwalający na płótnie sceny z życia na wsi, krajobrazy, sceny batalistyczne i zwyczajowe. Jego prace zdobią kościół parafialny w Huszcy. Swoje suknie ślubne i okolicznościowe prezentowała Katarzyna Tokarska.

Nie zabrakło też konkursów i zabaw dla dzieci. Szczególną popularnością wśród najmłodszych cieszyło się malowanie twarzy. Dzieci ustawiały się w kolejce do pani Magdy Adamskiej, która ozdabiała ich twarze kolorowymi uśmiechami klaunów lub wąsami kotów. Wielką frajdą była również trampolina oraz nadmuchiwana zjeżdżalnia. W przerwie między zabawą można było spróbować waty cukrowej rozdawanej przez cały czas trwania imprezy. Całą imprezę poprowadził Mariusz Maksymiuk „Max” z Radia BiPeR. Warto nadmienić, iż ojciec Mariusza pochodzi z Koszoł.

Organizatorzy zadbał także o poczęstunek. Na chętnych czekały ciasta upieczone przez mieszkanki Koszoł, a jeśli ktoś zgłodniał można było upiec kielbaskę przy ognisku lub spróbować domowego bigosu. Najwytrwalsi uczestnicy bawili się do późnych godzin wieczornych.

Justyna Dzirko



Organizatorzy nie zapomnieli także o najmłodszych uczestnikach pikniku

fot. Ela Wołosowicz



Wspomnienia z nieodległej przeszłości (cz. 1)

Na łamach czasopisma „Kniaża” prezentujemy pierwszą część wspomnień p. Czesława Najdychora. Autor rodem wywodzi się z Koszół, gdzie w 1959 r. ukończył szkołę podstawową. Jest absolwentem Technikum Ekonomicznego w Białej Podlaskiej oraz technologii elektroniki na Politechnice Warszawskiej. Przez wiele lat przebywał na emigracji w Kanadzie.

Wypadło mi przyjść na ten świat pod koniec 1945 roku, w dzień Wszystkich Świętych. Tak więc patronów świętych mam pod dostatkiem. Tak się składa, że w dzień kolejnych urodzin, zwykle odwiedzam moje ukochane Koszóły, wcześniej odmówiwszy pacierze na cmentarzu w Huszczy, nad grobami moich bliskich i nad grobami tych wśród których wzrastałem jako dziecko, nim nadszedł czas wyruszyć „w świat”. Był więc rok 1945. Polska dźwigała się z wojennych zgłiszcz i przeżyć. Nastąpiły nowe porządki z wprowadzeniem socjalizmu, które to porządki okoliczni chłopcy nazywali „demokracją”, w opozycji do porządku przedwojennego nazywanego sanacją. Nie potrafię wytłumaczyć skąd się wziął termin „demokracja”, skoro nowy system przyniesiony przez Armię Czerwoną z demokracją niewiele miał wspólnego. Pamiętam mój pierwszy dzień w szkole, kiedy to wystraszone siedmiolatki siedziały na taboretach przy ławkach z dziurką w pulpicie na kałamarz z atramentem. Kałamarz nawet czasami i był, ale zwykle pusty – zamiast atramentu były tam zdechłe muchy. Wyjątkowo, gdy lekcja była prowadzona przez kierownika szkoły pana Maksymowicza, który wchodził do klasy z wielką butlą atramentu i przed rozpoczęciem zajęć, nalewał do kałamarza po trochę atramentu. Maczaliśmy wtedy stalówki naszych piór w osadzonych (w tzw. obsadkach) w kałamarzach i gryzmoliliśmy w zeszytach zadane słowa i zdania. Zadanie nie było łatwe, stalowe pióro nie toczyło się tak gładko jak kulkowy długopis. Mimo wysiłku, jakі dzieci wkładały, nie jednemu zdarzył się kleks, a palce umazane atramentem mieliśmy wszyscy.

Do szkoły przychodziliśmy boso aż do późnej jesieni, buty były tylko na zimę. Miałem jak większość dzieci, jedną parę butów kupowanych o kilka numerów za duże, aby starczyły na kilka zim. Najczęściej były to trzewiki ze świńskiej skóry na gumowej podeszwie. W szkole podłoga była z desek nasączonych ropą (olej napędowy) i po jakimś czasie biegania w gumowych podeszwach trzewików robiły się bąble. A więc tego pierwszego dnia szkoły w pierwszej klasie jednej z dziewczynek w chustce na głowie nauczycielka kazała zdjąć nakrycie głowy i położyć pod ławkę. Przestraszone dziecko posłusznie zdjęło chustkę i położyło ją na podłodze pod taboretami. Nikt z nas nie wiedział że „pod ławkę” znaczyło schowek pod blatem. A więc szkoła - pierwsze wyjście z rodzinnego domu, często gdzieś na skraju wsi z dala od innych ludzi. Nic więc dziwnego że pójście do szkoły było dla wielu z nas dużym przeżyciem. Zajęcia w szkole zaczynały się modlitwą w każdej klasie osobną, która brzmiała tak: „Duchu Święty, który oświecasz serca i umyśły nasze, dodaj nam ochoty i zdolności, aby ta nauka była dla nas pożytkiem doczesnym i wiecznym. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen”. Po ostatniej lekcji odmawialiśmy w dużym pośpiechu taką modlitwę: „Dzięki Ci, Boże, za światło tej nauki. Spraw, abyśmy nią oświeceni mogli Cię zawsze wielbić i wolę Twoją wypełniać na wieki. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen”. Sam się teraz zastanawiam, jak to się stało, że w 1952 roku, w czasie stalinowskim dopuszczono odmawiania modlitwy w szkole. Był to zapewne krótki czas, bowiem w kilka lat później, nie było nawet krzyża w żadnej klasie. Za to na ścianach musiały

wiszieć portrety „władców” ówczesnego państwa polskiego: Stalina i Bieruta.

Do szkoły chodzić lubiłem bardzo. Wręcz nie mogłem się doczekać końca wakacji. Dla nas wiejskich dzieci wakacje, to był czas ciężkiej, często ponad siły, pracy w gospodarstwie i na polu. Pasienie krów, karmienie inwentarza, pomoc przy żniwach czy wykopkach to tylko niektóre z prac, w których uczestniczyły dzieci. Zdarzało się że przed pójściem do szkoły, wczesnym rankiem musiałem przez kilka godzin poganiać konie w kieracie napędzającym młockarnię. Czynność ta była niezmiernie nudna. Tak chodzić w koło za koźmii, jeszcze od czasu do czasu przywalić jednej, czy drugiej kobyłę batem po zadzie. Ojciec w czasie takiej młócki stał na młockarni i podawał zboże pod beben maszyny. Pokrzykiwał często do mnie: „poganiaj, prędeż, prędeż!” Mama zwykle odbierała wymłóconą już słomę i wiązała w wielkie snopy. Siostra podawała snopki zboża ojcu na maszynę, a ja znudzony włókłem się za koźmii noga za nogą jak ten skazaniec. Wymłócenie trzech kop żyta (kopa to 60 snopków) zajmowało nawet do 2 godzin. Młócenie tzw. maszyną na czyste zboże napędzaną silnikiem spalinowym, przyszło dopiero wiele lat później, a na elektryczność czekać przyszło jeszcze ze dwadzieścia lat. Nic więc dziwnego że szkoła była wytchnieniem.

Nauka szła mi gładko. W lot pojmowałem pisanie, czytanie i arytmetykę. Wyforowałem się nawet na najlepszego ucznia w szkole i w wieku chyba 9 lat w nagrodę, jak to się mówiło, za dobre postępy w nauce, pojechałem na pierwszą wycieczkę do miasta. Wycieczkę tę opiszę później. Teraz opiszę pewne wydarzenia z mojego dzieciństwa które zapadły mi głęboko w pamięci i które są świadectwem tamtych czasów. Jak wiadomo w Polsce Ludowej, nie udało się odebrać chłopom ziemi i utworzyć kołchozów na wzór sowiecki, ale za to nałożono na nich obowiązek dostarczania płodów rolnych państwu po niskich państwowych cenach. Kontyngenty te wyznaczano z każdego hektara i często jak był nieurodzaj, chłopcy nie byli w stanie dostarczyć wyznaczonej ilości zboża, żywca i jeszcze zapłacić podatek gruntowy. Wtedy wkraczał do wsi tzw. sekwestrator, czyli poborca podatkowy i siłą zabierał resztki zbóż, albo zajmował jakieś wartościowsze przedmioty, jak kozuchy czy maszynę do szycia. We wsi powstawała panika na wieść że chodzi sekwestrator. Ludzie chowali co tylko kto miał.. Matki, siostry zapłakane, mężczyźni zasępieni i źli.

Któregoś roku mój ojciec z powodu choroby świń nie odstawił tzw. żywca dla państwa i dostał wyrok więzienia. W domu płacz i lamenty mamy i sióstr, a ja nieświadomy powagi sytuacji chodziłem ze złapanym ćwierkającym świerszczem w garści. Mama



Na Placu Wolności w Białej Podl. Czesław Najdychor (z lewej) z Władysławem Drożdżem i Eugeniuszem Glowackim ze Studzianki. Fot. 1963 r.



Autor z klasą w Technikum Ekonomicznym w Białej Podlaskiej. Fot. 1963 r.

przygotowała węzełek z kawałkiem chleba i słoniny i biedny ojciec poszedł. Wrócił za kilka dni ku uciesze wszystkich.

W tymże areszcie znalazł się jakiś urzędnik i kazał ojcu napisać podanie o zwolnienie, z wyjaśnieniem jak to było z tym pomorem świń. Kilka dni później jakieś wyższe czynniki uznały podanie ojca i został zwolniony.

Życie codzienne czasów mojego dzieciństwa było biedne. Pieniądzy w domu przeważnie nie było. Na zakup nafty do lampy czy cukru zwykle sprzedawano się jajka kurze. Tak więc do sklepu zamiast pieniędzy zabierało się kilka jaj i wracało się z pół litra nafty, albo tutką cukru. Czasami był to cukier w kostkach i wtedy trudno było nie ulec pokusie zjedzenia jednej czy dwóch kostek z poczuciem wielkiej winy. Któregoś lata pojechałem rowerem z jajkami w koszyku do sklepu i po drodze wywróciłem się tłukąc jajka. Ze strachem wróciłem do domu, zamiast nagany czy skarcenia jadłem wtedy pyszną jajecznicę. Mięso wędliny rzadko pojawiały się na stole. Na co dzień było mleko z chlebem własnego wypieku, czasami zupa kartoflana lub kapuśniak czy barszcz buraczany. Jeszcze teraz pamiętam wielką kromkę domowego chleba posmarowaną śmietaną i posypaną cukrem, którą przynosiła mi mama, gdy z dala od domu, pod lasem pasłem krowy. Nic już w późniejszym życiu nie zjadałem z takim apetytem.

Przyszła roku 1959, rok zmian w naszej rodzinie. Latem moja siostra wyszła za mąż i wyprowadziła się z domu. Skończyłem właśnie szkołę podstawową i jesienią szykowałem się na dalszą edukację w mieście. Napychałem słomą lniany siennik z płótna utkanego przez mamę. Było słonecznie i tyleż słońca i radości miałem w sercu. Oto kończy się wiejska katorga, zmieniam po raz pierwszy miejsce zamieszkania i styl życia. Dokonuję pierwszego kroku „w świat”. Nie mam żadnych marzeń ani planów - przenoszę się do miasta. Na wieś będę jeszcze przyjeżdżał na każde wakacje aż do roku 1972, kiedy z dyplomem magistra w kieszeni podejmę pierwszą pracę jako inżynier. Nawet wtedy nie przeczuwałem moich dalszych losów. Teraz z lubością wspominam ten czas przeprowadzki do Białej Podlaskiej. Nie było mi żal Koszoł. Tylko czasem zatęskniłem za mamą, martwiąc się, jak ona tam beze mnie

poradzi w gospodarstwie, czy to z krowami, czy to ze świnkami, jak jej uciekną z chlewa. Nie wiem dlaczego to wspomnienie jest mi teraz takie miłe, przywołane powiem jesieni.

Młodość

Technikum Ekonomiczne w Białej Podlaskiej ukończyłem w roku 1964. Miałem już za sobą młodzieńcze fascynacje płcią przeciwną i kilka nieszczęśliwych miłości. Teraz postanawiam już bez inicjatywy rodziców zostać inżynierem automatyki przemysłowej. Jednak sprawa nie jest łatwa. Trzeba mi doświadczyć pierwszej porażki. Nie udaje mi się egzamin wstępny na Politechnikę Gliwicką. Mam za słabe przygotowanie z matematyki i fizyki. W technikum uczyłem się niepotrzebnie księgowości i ekonomiki przemysłu. Program fizyki i matematyki był okrojony. Żeby nie tracić czasu zaczynam pracę jako księgowy w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni w Białej Podlaskiej. Praca jest nudna i męcząca. Siedzę całymi dniami za biurkiem i coś tam księguję na tzw. arkuszach przebitkowych. Wokół same kobiety w różnym wieku. Niektóre kopca papierosy, coś tam liczą na „kręciołkach” (mechaniczny kalkulator), księgują, kłócą się o jakieś bzdury. Ja jeden 18 latek wśród tego babinia. Przetrzymałem jakoś szczęśliwie cały rok w tej pracy, ucząc się w domu fizyki i matematyki.

Jesienią 1965 roku rozpoczynam studia na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie na Wydziale Fizyki. Początkowo mieszkam na stacji blisko Placu Litewskiego. Po pierwszym semestrze dostaję miejsce w akademiku przy Langiewicza. W ośmiu zajmujemy jeden pokój z czterema piętrowymi łózkami. Jestem oczarowany miasteczkiem uniwersyteckim. Wszystko mamy na miejscu: zespół akademików, Wydział Fizyki i Matematyki, piękną stołówkę w Chatce Żaka i salę kinową tamże. Z nauką nie mam żadnych trudności, ale znów powraca myśl o zawodzie inżyniera. Po trzecim semestrze spotykam na stołówce Alinę Żukowska, studentkę polonistyki, wcześniej koleżankę z klasy w technikum. Zwiergam się jej z moich rozterek. Nie chcę po studiach zostać nauczycielem fizyki w szkole, ani zostać pracownikiem nauki, chcę być

inżynierem. Ona mi na to - To się przenieś na Politechnikę. Jak powiedziała, tak zrobiłem. Następnego dnia pojechałem do Warszawy na Wydział Elektroniki Politechniki. Tam bez trudu Dziekan Wydziału p. Sławiński zapisał mnie na Technologię Elektroniki. Myślę że bardzo mi pomogły moje piątki z egzaminów w indeksie UMCS-u.

Kolejny awans cywilizacyjny w moim życiu. Teraz mieszkam już w stolicy, bardzo dumny i zachwycony miastem. Chodzę po teatrach, kinach, koncertach jazzowych. Raz nawet zabłąkałem się na próbę Kabaretu „Elita” Jana Pietrzaka. „Mistrz” zapytał mnie nawet, czy interesują mnie występy na scenie - oczywiście odmówiłem, przestraszony propozycją.

Marzec roku 1968. Siedzimy na jakichś ćwiczeniach w sali Gmachu Elektroniki z oknami na Plac Politechniki (wówczas jeszcze Plac Jedności Robotniczej). Na placu przed Politechniką gromadzą się coraz większe tłumy studentów. Nie wiemy co się dzieje. Prowadzący zajęcia asystent kończy zajęcia i pozwala nam wcześniej wyjść. Dołączam z innymi do wiecujących. Słychać okrzyki „Uwolnić studentów!”. Później dowiemy się o aresztowaniu Michnika, Szlajfera i innych studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Tłum rusza ul. Polną w stronę Placu Unii. Z przeciwka rusza na nas tyraliera zomowców. Środkiem szeregu uzbrojonych w pałki milicjantów idzie jeden z megafonem i wzywa studentów do rozejścia się. Po kilku wezwaniach, gdy przesterzeń między studentami i milicją zmniejszyła się do kilkudziesięciu kroków, ktoś rzucił kamieniem w stronę milicji. Wtedy milicjanci się rozbiegli i zaczęli pałkami atakować. W tym zamieszaniu zostałem uderzony pałką po plecach, ale nie bolało, miałem na sobie gruby płaszcz. Coś tam do mnie krzyknął uderzając i wtedy poczułem zapach wódki w jego oddechu.

Następne dni były pełne napięcia i niepokoju. Zaczął się strajk okupacyjny w Gmachu Głównym Politechniki. Napisaliśmy 10-punktową rezolucję wywieszoną na płótnie. Oburzało nas, że w prasie nazwano nas „chuliganami i elementami wyrotowymi”. W czasie strajku warszawiaci dzielnie nas wspierali przynosząc jedzenie i słodycze. Na Uniwersytecie było jeszcze burzliwiej. Na ulicach pojawiły się armatki wodne i używano gazów łzawiących. W akademiku zbieraliśmy się nocą w naszym klubie i pisaliśmy ręcznie ulotki z treścią rezolucji. Po raz pierwszy zetknąłem się z działalnością polityczną i opozycyjną wobec władzy. Znacznie później dowiedzieliśmy się, że zaczęło się od „Dziadów” wystawianych przez Dejmka w Teatrze Narodowym. Decyzją ówczesnego sekretarza partii Władysława Gomołki przedstawienie wstrzymano. Aresztowano przywódców studenckich i zaczęły się strajki i manifestacje. Coś tam wspomniano, że zostaliśmy wykorzystani przez jakąś frakcję partii i do jakichś rozgrywek politycznych.

W czasie letniej sesji egzaminacyjnej do egzaminów nie przystąpili Witek Goliat i Marian Trejbicz z mojej grupy. W następnym roku akademickim zabrakło jeszcze kilku studentów z naszego roku. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy o zmuszonych do emigracji z Polski rodzinach pochodzenia żydowskiego. Taki był rok 1968 w moim życiu.

Czesław Najdychor

*Opiekno
z wierszem***Plącząca scena**

*Jakiś jęk, narzekanie słyhać gdzieś z oddali
To w Koszozłach w remizie wciąż scena się żali
Jęczy, wzdycha, deskami zgrzyta i narzeka,
Ze już lat kilkadziesiąt na aktorów czeka!
Skazana na bezczynność i śmiertelne nudy,
Żal swój dzisiaj wyraża szczerze, bez obłudy.
Woła w żalu głębokim: O ja, nieszczęśliwa!
I w te słowa z wyrzutem do nas się odzywa:
Wstawiono mnie przed laty w tej remizie mury,
Abym była oznaką oświaty, kultury,
A dziś, gdy się kultura szerzy całym światem,
Jestem bezużytecznym zapomnianym gratem!
Dawniej, chętnie i często różne sztuki grano,
A dzisiaj już zupełnie o mnie zapomniano.
Więc proszę Was serdecznie, albo mnie rozbierzcie,
Lub jakąś nową sztuką prędko mnie ucieście,
Bo nim przyjdzie aktorów nowe pokolenie,
Ja tu z nudów i żalu w próchno się zamienię!
Są tu przecież aktorzy i starzy i młodzi
A ja czekam i czekam, lecz nikt nie przychodzi!
Dostęp do mnie zamknięty, jak butelka korkiem –
Raz na rok mnie odwiedza ten Mikołaj z workiem,
Z „noworoczną choinką” piękną i wspaniałą,
Lecz ta szkolna impreza to dla mnie za mało.
Bo ona dzieci szkolnych przeważnie dotyczy,
Co są Mikołajowych spragnione słodczy.
A więc proszę Was bardzo panowie i panie,
Nie bądźcie tacy głusi na moje wzywanie,
Apelując dziś do was, zwłaszcza do młodzieży,
Proszę niech nadal we wsi kultura się szerzy...*

Feliks Czubla

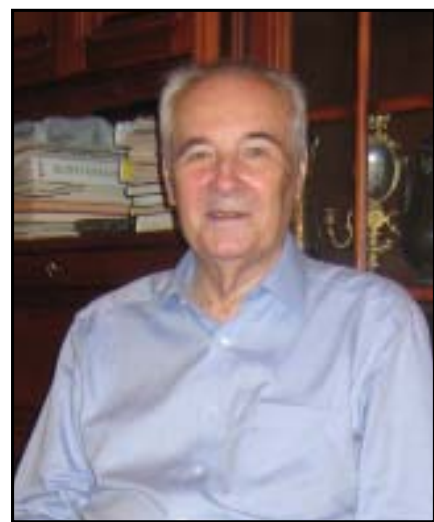
**Prof. Waław Nazarewicz****Wybitny fizyk rodem z Koszół
W 80. rocznicę urodzin**

Większości mieszkańców Koszół i gminy Łomazy sylwetka prof. Waława Nazarewicza nie jest znana. Rodzinne Koszozły opuścił 60 lat temu. Od blisko 50 lat mieszka w Warszawie. Obecnie jest emerytowanym pracownikiem naukowym Uniwersytetu Warszawskiego. Z sentymentem wspomina lata spędzone w Koszozłach, które w miarę możliwości stara się odwiedzać.

Waław Nazarewicz urodził się 21 lipca 1930 roku w Koszozłach (gm. Huszcza, pow. bialski). Jego rodzicami byli Jan Nazarewicz (1884-1955) i Anna z Kowieskich (1906-1934). W 1937 r. rozpoczął naukę w szkole powszechnej w Koszozłach. W okresie okupacji kontynuował naukę u prywatnych nauczycieli.

W 1944 r. rozpoczął naukę w Liceum im. J. I. Kraszewskiego w Białej Podlaskiej. Do szkoły uczęszczał przez 2 lata. Potem uczył się korespondencyjnie. Powojenne szkolnictwo korespondencyjne powstawało głównie z myślą o młodzieży wiejskiej. Ośrodek dydaktyczny znajdował się początkowo w Siedlcach, potem w Lublinie. Waław Nazarewicz maturę uzyskał w 1950 r. w Korespondencyjnym Liceum Ogólnokształcącym w Lublinie. Zgodnie z własnymi zainteresowaniami rozpoczął studia z zakresu fizyki na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. W 1955 r. uzyskuje tytuł magistra fizyki na macierzystej uczelni. Po obronie pracy magisterskiej podejmuje pracę w Instytucie Badań Jądrowych w Świerku k. Otwocka. Pracuje w Zakładzie II Fizyki Jądrowej. Ponadto, otwiera przewód doktorski w w/w instytucie. W 1964 r. zostaje doktorem nauk matematyczno-fizycznych. Następnie w 1966 r. rozpoczyna pracę na Wydziale Fizyki Uniwersytetu Warszawskiego (UW). W 1969 r. uzyskuje tytuł doktora habilitowanego. Rok później zostaje docentem Wydziału Fizyki UW. Tytuł profesora nadzwyczajnego otrzymuje w 1991 r. W tym samym roku delegowany zostaje przez Uniwersytet Warszawski na placówkę Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Paryżu. Tam przebywał do 1993 r. pełniąc funkcję zastępcy dyrektora do spraw naukowych. Przez 35 lat pracy na UW (lata 1966-2001), prof. Waław Nazarewicz prowadził badania na Wydziale Fizyki w następujących jednostkach: Instytucie Fizyki Doświadczalnej, Zakładzie Metod Jądrowych Fizyki Ciała Stałego, Zakładzie Fizyki Ciała Stałego (od 1971 r.). W okresie pracy na Wydziale Fizyki UW pełnił około 10 różnych funkcji kierowniczych. Był m.in. kierownikiem: Zakładu Metod Jądrowych Fizyki Ciała Stałego, Studium Doktoranckiego, Studium Podyplomowego, II i III Pracowni Fizycznej dla studentów, Studium Fizyki dla Pracujących. Odbił także dwa staże zagraniczne: w Laboratoire de Physique, Ecole Normale Supérieure w Paryżu oraz Laboratoire de Physique des Solides, Universite Pierre et Marie Curie w Paryżu. Łącznie w w/w laboratoriach przebywał ok. 5 lat. Jego współpraca naukowa z tymi laboratoriami trwała ponad 20 lat.

Głównym przedmiotem zainteresowań



naukowych prof. Nazarewicza była dynamika sieci krystalicznej półprzewodników, a w szczególności drgania lokalne kompleksów domieszkowych w tych materiałach; dynamika sieci kryształów mieszanych; spektroskopia w średnim i dalekim zakresie oraz spektroskopia ramowska. W badaniach tych stosowano spektroskopię w średnim i dalekim obszarze podczerwieni. Najważniejszym jego osiągnięciem jest określenie struktury różnych kompleksów domieszkowych w związkach półprzewodnikowych II-VI oraz odkrycie metodą spektroskopii w podczerwieni drgań lokalnych w półprzewodnikach, co zapoczątkowało nową dziedzinę badań. Prof. Nazarewicz opublikował około 50 prac naukowych z tej dziedziny. Był promotorem 5 prac doktorskich oraz opiekunem naukowym ponad 20 prac magisterskich z fizyki doświadczalnej. W okresie pracy na UW prof. Nazarewicz prowadził wiele różnych wykładów dla studentów fizyki. Ponadto, w latach 1973-1977 był przewodniczącym Oddziału Warszawskiego Polskiego Towarzystwa Fizycznego. W 2001 r. został laureatem nagrody dydaktycznej Wydziału Fizyki UW. W tym samym roku przeszedł na emeryturę. Od 1966 r. jest żonaty. żona Barbara (z d. Rozwadowska) jest emerytowaną nauczycielką. Ma syna Kamila (ur. 1972 r.).

W związku z tym, że prof. Waław Nazarewicz obchodzi w tym roku jubileusz 80-lecia urodzin, Redakcja czasopisma „Kniaża” składa najserdeczniejsze życzenia wszelkiej pomyślności oraz wielu lat w zdrowiu. Sto lat Panie Profesorze!

tekst i fot. Sławomir Hordejuk



Koszoly - moja rodzinna wieś (1)

Prof. Wacława Nazarewicza miałem okazję poznać 16 października w Warszawie. Muszę przyznać, że jestem pod ogromnym wrażeniem jego osobowości, a szczególnie doskonałej pamięci. Dzięki relacji Profesora dowiedziałem się wiele szczegółów nie tylko z dziejów jego rodziny, ale także historii wsi Koszoly. Ponad dwie godziny rozmowy upłynęły bardzo szybko. Poniżej przedstawiam pierwszą część wywiadu z prof. Wacławem Nazarewiczem.

Sławomir Hordejuk: Urodził się Pan w Koszolah i tutaj spędził pierwsze 21 lat swego życia, zanim wyjechał Pan na studia. Przez wiele lat pracował Pan na Uniwersytecie Warszawskim i zajmował się badaniami naukowymi w dziedzinie fizyki. Chciałbym prosić, aby zechciał Pan opowiedzieć Czytelnikom „Kniaża” o swojej drodze z Koszof do stanowiska profesora na UW. Interesująca też byłaby informacja o Pana ojcu i ewentualnie wcześniej żyjących przodkach. Pana ojciec był znaczącą postacią w Koszolah, a od 55 lat już nie żyje i niewiele go dzisiaj pamięta. Może też będzie Pan mógł coś powiedzieć o rodzinie Grabowskich, która jako ostatnia była właścicielem folwarku w Koszolah, a od której Pana ojciec kupił resztę posiadłości. W końcu oczekuję, że podzieli się Pan swoimi wspomnieniami z okresu okupacji hitlerowskiej i pierwszych lat powojennych.

Prof. Wacław Nazarewicz: - Cieszę się, że zaczyna się ukazywać czasopismo „Kniaża” poświęcone interesującym dziejom wsi Koszoly oraz aktualnym sprawom jej mieszkańców. Chętnie odniosę się do zagadnień, które wymienił Pan przed chwilą. Niestety, w wielu przypadkach nie będę mógł podać dokładnie roku, w którym miało miejsce jakieś zdarzenie oraz imion osób, o których będę mówił. Koszoly, to moja rodzinna wieś, o której wciąż myślę z sympatią. Tutaj się urodziłem. Tutaj mieszkałem do 1951 r., w którym to roku w wieku 21 lat wyjechałem na studia do Lublina. W Koszolah spędziłem moje dzieciństwo i część swojej młodości. Mam już 80 lat i należę do pokolenia najstarszych ludzi w Koszolah.



Aniela Juścińska (z Grabowskich)
Lublin, ok. 1880 r. Fot. ze zbiorów
Janiny Cydejko

Moja pamięć sięga do czasów II wojny światowej. W chwili jej wybuchu miałem 9 lat. W okresie okupacji hitlerowskiej uczęszczałem do szkoły powszechnej. Wielu z moich rówieśników w Koszolah z którymi chodziłem do szkoły lub miałem kontakty związane z innymi okolicznościami, niestety już nie żyje. Dzisiejszy mieszkańcy Koszof z reguły są ode mnie młodszy o jedno, dwa, a nawet trzy pokolenia i znają mnie tylko „ze słyszenia”. Nie ma w tym nic dziwnego, gdyż przez około 60 lat mieszkałem poza Koszolah, głównie w Warszawie. Wprawdzie przyjeżdżałem do Koszof, ale moje wizyty zazwyczaj były krótkie i miały na celu jedynie odwiedzenie rodziny.

Może zaczniemy od Pana przodków ze strony ojca, którzy żyli w Koszolah. Co Pan może o nich powiedzieć?

- Informacje o moich przodkach są raczej skąpe. Pochodzą one głównie z przekazów ustnych i sięgają tylko do trzech pokoleń wstecz: pokolenie rodziców, dziadków i pradiadków. Najwięcej oczywiście mogę powiedzieć o moich rodzicach. Jeżeli chodzi o dziadków i pradiadków nie znam danych dotyczących roku ich urodzenia, ślubu i zgonu. Istnieją one zapewne w aktach stanu cywilnego, które są przechowywane w archiwach. Nie zachował się też żadne fotografie, gdyż nie było wtedy we wsi zwyczaju fotografowania się. Przypuszczam, że moi dziadkowie i pradiadkowie wiedli życie typowe dla mieszkańców wsi w tamtych czasach. Nie ma żadnych przekazów o jakichś szczególnych wydarzeniach w ich życiu. Chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że mój dziadek i pradiadek mieli w Koszolah wielodzietne rodziny. Mój pradiadek, Nestor miał 7-ro dzieci: 3 synów (Stefan., Roman i Paweł) oraz 4 córki (imion ich nie znam). Z kolei mój dziadek (Stefan) miał 6-ro dzieci: 5 synów (Jan, Grzegorz, Maksymilian, Antoni, Piotr) oraz 1 córkę (Aniela). Najstarszym spośród rodzeństwa był Jan (mój ojciec). Dzieci te, z pewnymi wyjątkami, założyły w Koszolah własne rodziny. Dało to początek licznej i rozgałęzionej rodzinie Nazarewiczów. Po II wojnie światowej wielu członków rodziny Nazarewiczów wyjechało z Koszom. Między innymi wyjechały dzieci mego stryja Maksymiliana i stryja Antoniego. Wyjechało też 7-ro dzieci mojej siostry, a pozostał tylko jeden syn. Mój dziadek Stefan, ożenił się z Marianną z domu Lewczuk, która pochodziła ze wsi Rowiny koło Wisznic. Źródłem utrzymania było gospodarstwo rolne o powierzchni ok. 15 ha. Należy jednak dodać, że w tamtych czasach stosowano w rolnictwie system trójpolowy (tzw. trójpolówka) i 1/3 część ziemi każdego roku odlogowała. Mój dziadek mieszkał w drewnianym domu krytym strzechą, który znajdował się w środku wsi naprzeciw dzisiejszego sklepu. Dom ten spalił się wkrótce po zakończeniu

pierwszej wojny światowej. Dodam jeszcze, że mój dziadek i jego żona zmarli w pierwszej połowie lat 20-tych ubiegłego wieku. Nigdy ich nie widziałem, gdyż urodziłem się po ich śmierci.

Co Pan może powiedzieć o rodzinie Grabowskich, która była właścicielem folwarku w Koszolah?

- W Koszolah żyły tylko dwa pokolenia rodziny Grabowskich. Przedstawicielem pierwszego pokolenia był Seweryn Grabowski. W 1864 r. kupił on od Piotra Serwińskiego część (starą) folwarku w Koszolah (druga część leżała koło majątku Łobacza, gdzie znajdowały się stawy). Drugie pokolenie, to dzieci Seweryna Grabowskiego. Nie pamiętam skąd pochodził, ale żona jego była z domu Gastold-Bukraba. Pochodziła ona ze wsi Krasówka koło Włodawy. Rodzina Grabowskich miała czworo dzieci z których dwoje (Stanisław i Konrad) zmarło w wyniku epidemii cholery w 1851 r. Zostały one pochowane na cmentarzu w Koszolah. Pozostałych dwoje dzieci, to córka Aniela i syn Józef. Seweryn Grabowski zmarł w 1882 r. i jest pochowany na cmentarzu w Huszcy. Nie wiem, gdzie znajduje się grób jego żony. Prawdopodobnie zmarła w czasie pobytu w sanatorium w Karłowicach Warach (Czechy) lub Baden-Baden (Niemcy), dokąd co roku wyjeżdżała. Możliwe, że tam została pochowana.

Jakie były losy dwojga dzieci Grabowskich, Anieli i Józefa, o których Pan wcześniej wspominał?

- Syn Józef pozostał w Koszolah. Nie ożenił się, gdyż uważał, że nie posiada już wystarczającego majątku, aby utrzymać rodzinę i wykształcić dzieci. Zmarł w pierwszej połowie lat 20-tych ubiegłego wieku i jest pochowany na cmentarzu w Białej Podlaskiej. Natomiast córka Aniela wyjechała do Lublina, gdzie wyszła za mąż za rejenta (notariusza) Wiktora Juścińskiego. Tam też zamieszkała i zmarła w marcu 1899 r. Wiadomo, że miała córkę Jadwigę, która w 1896 r. wyszła za mąż za dr. Jana Ignacego Modrzewskiego (1869-1962), wybitnego chirurga, działacza społeczno-politycznego i senatora II RP. Jadwiga Modrzewska (z Juścińskich) zmarła ok. 1945 r. i pochowana jest (podobnie jak jej matka) na starym cmentarzu przy ul. Lipowej w Lublinie. Mieli dwójkę dzieci: Anielę (żonę Michała Voita, prof. medycyny, kierownika Kliniki Chorób Wewnętrznych w Lublinie) oraz syna Franciszka Modrzewskiego (1902-1985), ekonomistę, dyplomatę i wiceministra handlu zagranicznego. Chciałbym jeszcze dodać, że Franciszek Modrzewski w latach 70-tych parokrotnie przyjeżdżał do mojej siostry. Chciał zobaczyć miejsce, z którego pochodziła jego babcia, Aniela Grabowska. On również pochowany jest w Lublinie.

c.d.n.



Jako to drzewiej bywało

Życie człowieka od wieków związane było z różnymi świętami, zwyczajami i przesądami. Szczególnie widać było to na wsi, która od zawsze była ostoją tradycji i obrzędowości. Z każdym rokiem ludowe zwyczaje i obyczaje zanikają coraz bardziej. Jeszcze w niektórych regionach Polski próbują oprzeć się bezlitosnemu postępowi i nowoczesności. Tak jest między innymi z Bożym Narodzeniem, które jeszcze nie tak dawno znacznie odbiegało od tego dzisiejszego. A jak wyglądała Wigilia Bożego Narodzenia w czasach naszych przodków?

Każdy region w Polsce jest w pewien sposób specyficzny. Jego wyróżnikiem może być charakterystyczna przyroda, kultura, architektura, religia, język, ubiór. Podobnie jest z Podlasiem, które przez wieki znajdowało się na pograniczu Rzeczypospolitej i Wielkiego Księstwa Litewskiego. To położenie miało także wpływ na poszczególne cechy miejscowej ludności. Podlasiacy wyróżniali się charakterystyczną gwarą, strojem, ale także obyczajowością i przesadami. Tylko niewielka część z kultury materialnej i duchowej ubiegłych wieków przetrwała do naszych czasów. Niektórzy nawet twierdzą, że wiejska obyczajowość w niedługim czasie stanowić będzie element folkloru. Czytając dzieła polskich etnografów, zauważyć można troskę o zachowanie każdego elementu naszych obyczajów. Wszystko to stanowi dziedzictwo kulturowe przeszłości, której jesteśmy spadkobiercami.

W ludowej tradycji i obrzędach znaczącą rolę odgrywały pory roku oraz terminy świąt kościelnych. Przy okazji różnych świąt i uroczystości, nie bez znaczenia była także sytuacja materialna danej rodziny, czy też status społeczny. Rola świąt i pobożności na Podlasiu wzrosła szczególnie w okresie XIX-wiecznych zaborów. Rozwój warstw miejskich i inteligencji oraz upadek stanu szlacheckiego spowodował m.in. przyjęcie wielu zwyczajów z innych krajów, np. wysyłanie drukowanych kartek z życzeniami (Anglia), czy ubieranie choinki w Wigilię (Niemcy). Od XIX w. zaczęto także zaopatrywać się w produkty w sklepach. Wcześniej wszystkie pochodziły z domowej spiżarni. Niemniej jednak wszystkie święta (zwane też „godami”) obchodzone były uroczyście i z dużym pietyzmem. W szczególności na wsi.

Chyba najważniejszym świętem w ciągu roku było Boże Narodzenie. Poprzedzała je Wigilia (łac. vigilia – czuwanie), nazywana niegdyś wilią, postnikiem, kutią, godami, czy bożym obiadem. Przez cały dzień obowiązywał ścisły post. Tego dnia wszystkie prace w gospodarstwie kończono wcześniej. Przed pierwszą gwiazdką należało także zakończyć wszelkie prace w domu (gotowanie, sprzątanie, ozdabianie, itp.). W Wigilię był zakaz szycia, przędzenia, czy tkania. Wierzono, że w noc wigilijną woda w rzekach, potokach i studniach, na krótko zamieniała się w miód lub wino. Wierzono także, że tego dnia o północy, zwierzęta mówią ludzkim głosem, a miłe słowo „wybranki” przyniesie miłość, upominek lub szczęście.

W czasach staropolskich na wieczerze wigilijną zapraszano wszystkich domowników, bez względu na ich status



Wigilia w wiejskiej chacie. Tygodnik „Kłosa” z 1878 r.

społeczny. Taka sytuacja nie zdarzała się na co dzień np. w majątkach wielkich dziedziców ziemskich. Co ciekawe, do kolacji wigilijnej musiała zazwyczaj zasiadać parzysta liczba domowników, gdyż wierzono, że nieparzysta oznacza śmierć kogoś z uczestników Wigilii w przyszłym roku. Przy stole zostawiano wolne miejsce, czasami także jedzenie dla zmarłych lub nieobecnych. Wieczerę wigilijną poprzedzało łamanie się opłatkiem, który czasami smarowano miodem lub konfiturami. Zwyczaj dzielenia się opłatkiem przyjęły się od II końca XVIII w. wśród szlachty. Następnie szybko rozprzestrzenił się w innych stanach, zarówno na wsi, jak i w miastach. Każda Wigilia, to także specjalne potrawy. W miarę możliwości i sytuacji materialnej,

starano się, aby kolacja wigilijna była jak najobfitsza. Urodzony na Podlasiu historyk, pamiętnikarz i powieściopisarz Julian Ursyn Niemcewicz (1758-1841), opisał zapamiętaną przez siebie Wigilię z I poł. XVIII w. w ten sposób: „Wigilia Bożego Narodzenia była wielką uroczystością. W dawnej Polsce uczestniczyli w niej wszyscy domownicy razem ze służbą. Wieczerza ta miała bowiem łączyć wszystkich razem. Od świtu wychodzili domowi słudzy na ryby (...). Dnia tego jednakowo po całej może Polsce był obiad. Trzy zupy, migdałowa z rodzynkami, barszcz z uszkami, grzybami i śledziem, kucja [kutia – dop. S.H.] dla służących, krążki z chrzanem, karp do polewy, szczupak z szafranem, placuszki z makiem i miodem, okonie z posiekanymi jajami i oliwą itd.



W drodze na pasterkę

Obrus koniecznie zasłany być musiał na sianie, w czterech kątach izby jadalnej stały cztery snopy jakiegoś namłóconego zboża. Niecierpliwie czekano pierwszej gwiazdy; gdy ta zajaśniała, zbierali się goście i dzieci, rodzice wychodzili z opłatkiem na talerzu, a każdy z obecnych, biorąc opłatek, obchodził wszystkich zebranych, nawet służących, i łamiąc go powtarzał słowa: „Bodaj byśmy na przyszły rok łamali go z sobą”. Zwyczaj rozściełania słomy na podłodze lub stawiania jej w kątach izby jadalnej dotrwał na Podlasiu aż do II wojny.

Większość staropolskich potraw wigilijnych znikła niemal całkowicie ze świątecznych jadłospisów (może z wyjątkiem kutii). Podyktowane to był tym, że ówczesne potrawy znacznie różniły się smakowo od dzisiejszych. Obecna wigierza wigilijna, chociaż postna, jest za to bardzo obfita i urozmaicona. Zestaw dań wigilijnych jest nieco inny w każdym domu, zależy od zwyczaju rodzinnego i od upodobań domowników. Pomimo to, w każdym domu przygotowuje się różne typowe, tradycyjne wigilijne dania, ale ich smak wzbogacony został nowymi

produktami i przyprawami.

A jak wyglądała Wigilia w I poł. XIX w.? Jej opis z 1830 r. przytacza etnograf i badacz dawnych polskich zwyczajów i obyczajów Łukasz Gołębiowski (1773-1849): „W czasie wili stół pod obrusem zasłany był sianem, a w każdym kącie izby jadalnej były snopy rozmaitego zboża. Łańcuchem stół opasywano, ażeby się go chleb trzymał, żelazo płuźne pod stół kładziono, żeby krety roli nie ryły”.

Zygmunt Gloger (1845-1910), polski historyk, krajoznawca i etnograf w „Tygodniku Ilustrowanym” z 1874 r. opisuje jak zmieniły się zwyczaje wigilijne: „Stawianie snopów zboża po rogach izby, w której zasiadają do uczy Wigilijnej, dotąd napotykanę u ludu, było zwyczajem niegdyś we wszystkich warstwach powszechnym. (...) Lud wiejski, po uczy Wigilijnej, ze słomy tych snopów kręci małe powróśla i wybiegły do sadu owiązuje niemi drzewa owocowe w przekonaniu, że będą lepiej rodziły. Wigierza wigilijna u ludu składała się zwykle z potraw 7-miu, szlachecka z 9-u, pańska z 11-tu. Kto ilu potraw nie skosztuje, tyle go przyjemności w ciągu roku ominie. W domach

zamożniejszych panie rozdawały w dniu tym kolędę czyli podarki swej czeladzi i dobrze prowadzącym się dziewczętom ze wsi. Po spożyciu wigierzy Wigilijnej, czy to w chacie czy w pańskim dworze, oboje gospodarstwo, zgromadziwszy rodzinę i domowników, spędzali resztę wieczora na śpiewaniu kolęd o Narodzeniu Jezusowem”. Tego dnia nie odmawiano sobie także trunków, których spożywanie po okresie adwentowego postu było czymś powszechnym. Historyk prof. Zbigniew Kuchowicz, zajmujący się staropolskimi obyczajami, tak o tym pisał: „Wigilijne jadło, o określonej tradycją ilości potraw, spożywano w uroczystym i podniosłym nastroju, wypijano jednak do niego znaczną ilość trunków, zdarzało się więc często, że biesiadnicy wstawali od stołu mocno podochoceni. (...) O północy ruszano do kościoła na pasterkę. Ponieważ jednak większość jej uczestników znajdowała się pod wpływem wypitych trunków, nabożeństwo miało zwykle w wesołym, a nawet swawolnym nastroju”.

Sławomir Hordejuk

* drzewiej – dawniej, w przeszłości

Życzenia świąteczne

Zdrowych i spokojnych Świąt Bożego Narodzenia oraz szczęśliwego Nowego Roku życzy
Wicestarosta Bialski Jan Bajkowski



Od ucha do ucha!

Szczęśliwego nowego Roku!

- Zwariowałeś, w lutym?
- To już luty? Cholera, jeszcze nigdy nie wracałem tak późno z sylwestra...

- Puk, puk!
- Kto tam?
- Merry.
- Jaka Merry?
- Merry Christmas!

W Wigilię chłop jedzie furmanką, a obok biegnie pies. Ponieważ koń biegnie leniwie, chłop bije go batem.

- Jeszcze raz mnie uderzysz, to będziesz szedł piechotą! - mówi koń.
- Pierwszy raz słyszę, żeby koń mówił! - dziwi się chłop.
- Ja też! - mówi pies.

Przed Bożym Narodzeniem ksiądz spotyka dwóch punków.

- Przyszlbyście chłopcy choć raz do kościoła zobaczyć szopkę, pośpiewać kolędy...

Punki wybuchają śmiechem.

- Brudasy! Skorzystalibyście chociaż z wanny - mówi obrażony ksiądz i odchodzi.

Po chwili punk pyta kumpla:

- Ty, co to jest wanna?
- Nie wiem, nigdy nie byłem w kościele.

Dlaczego św. Mikołaj nosi brodę?

- Bo w 1917 roku Ruscy ukradli mu brzytwę.

A dlaczego jest ubrany w czerwony strój?

- Bo jak się dowiedział, że Ruscy ukradli mu brzytwę, to on w odwecie ukradł im 10 sztandarów z Placu Czerwonego.

A dlaczego Mikołaj nosi czerwoną czapkę?

- Bo początkowo Ruscy mylili go z Leninem.



- Mamo, czy to prawda, że Pan Bóg nas karmi?

- Oczywiście.

- I że dzieci przynosi bocian?

- Tak.

- I że prezenty rozdaje św. Mikołaj?

- Tak.

- To po co trzymamy w domu tatusia?

Ksiądz chodzący po kolędzie, dzwoni do drzwi mieszkania.

- Czy to ty, aniołku? - pyta kobiety głos zza drzwi.

- Nie, ale jestem z tej samej firmy!

Wybrał: S.H.

Podziękowania

W imieniu organizatorów pikniku rodzinnego, chciałbym podziękować wszystkim Mieszkańcom wsi Koszoły za zaangażowanie i wysiłek włożony w jego przygotowanie. Dziękujemy za uporządkowanie cmentarza i terenu wokół szkoły, przygotowanie posiłków, organizację zabaw dla dzieci, pomoc przy wystawach, itp. Osobne podziękowania należą się członkom Ochotniczej Straży Pożarnej w Koszolah, Wójtowi Gminy Łomazy Waldemarowi Drożdżukowi, Wicestarście Janowi Bajkowskiemu, Przedsiębiorstwu Wielobranżowemu „Komunalnik” Sp. z o.o. w Białej Podlaskiej, firmie P.H.U. Iwaniuk, firmie „Elektro-Sprak” Hurtownia Artykułów Elektrotechnicznych z Białej Podlaskiej, Bankowi Spółdzielczemu w Łomazach i wszystkim ofiarodawcom, bez których organizacja pikniku nie byłaby możliwa. Mam również nadzieję, że Mieszkańcy nie poprzestaną na jednym pikniku i w przyszłym roku uda się również zorganizować podobną imprezę. Zwłaszcza, że w 2011 roku przypada 300. rocznica osadnictwa tatarskiego w Koszolah.

Sławomir Hordejuk

Numer 2 „Kniaży” ukazał się dzięki wsparciu finansowemu Wicestarosty Białskiego Jana Bajkowskiego. **DZIĘKUJEMY!**

REDAKCJA

Opracowanie i redakcja:

Sławomir Hordejuk

Współpraca:

Elżbieta Wołosowicz,

Justyna Dzirko

Opracowanie graficzne:

Kamil Łojko

Adres redakcji:

Koszoły 67a

21-532 Łomazy

Nakład:

200 egz.

Kontakt:

kom.

663 267 487

e-mail:

slawomirh@o2.pl